№ 18. Warszawa, dnia (24 Kwietnia) 6 Maja 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

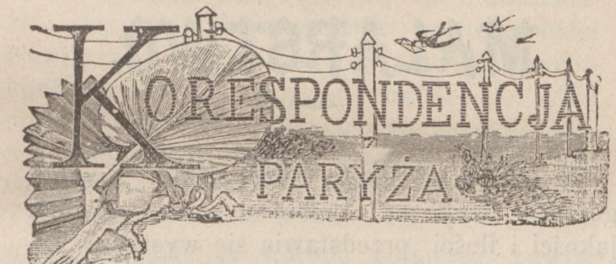
w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . rs. 1	kwartalnie . rs. 1.25
Za odnoszenie do domu	półrocznie . „ 2.50
kop. 10.	rocznie . . . 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Księgarnia Polska Plac Maryacki 11; w Krakowie księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu

Za zmianę adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa. Chmielna 26.
TELEFON 106.



O ubiorach.

2 Maja 1899 roku.

Ruch dziś niezwykły w magazynach i zakładach krawieckich, gdyż za kilka dni otwiera się wystawa rzeźb i obrazów. Przez cześć dla sztuki, Paryżanki stroją się wytwornie na tę uroczystość; nazwać ją można wystawą letniej mody.

Nim przystąpimy do szczegółów, rzućmy tu niektóre uwagi, co do dzisiejszego ubrania.

Tuniki powszechnie przyjęte, ale w układzie ich panuje wielka rozmaitość; jedne spadają równo, sięgając niżej kolan do garnirunku na spódnicy; inne otwarte z boku, zaokrąglone po rogach, objęte są wolantem, krajanym okrągło (en forme), a niektóre przedłużone znacznie w tyle lub z jednej strony. U tych spódnica koronkowa czarna lub szara, pokryta jedwabną tuniką, u tamtych znów tunika koronkowa na jedwabnej spódnicy.

Tak w fularach, jak i w lekkich jedwabnych materyach upowszechnił się rzucik w groszek, w nieregularnych odstępach i niednakowych rozmiarów. Na ciemnym fularze ten rzucik drukowany zwykle biało, na materyi przerabiany kolorowym jedwabiem w pęczki. Bardzo też upowszechnił się pekin w drobne paski obwiedzione wypukło jedwabiem.

Z tkanin wełnianych, podoba nam się szczególniej gładka etamina, bardzo klarowna. Suknie z niej i tuniki zdobią koronkowemi wstawkami albo inkrustowaną koronką w formie kwadracików, trójkątów, liści i t. p. Koronka bywa biała lub niewarowa. Inne suknie etaminowe naszywają fantastycznie wązkim galonikiem w perskim guście; na stanikach i spódnicy ciągną się te naszycia w rozmaitym kierunku.

Strojniejsze od tych, suknie z jedwabnej grenadiny w bardzo klarowny deseń, podwleczone kolorową materyą albo lekkim atłasem. Widzimy takie suknie popielate na różowem podwleczeniu, szare na jasno-błękitnem, czarne na śmietankowem i t. p. Z pomiędzy kolorów najmodniejszy jasno-popielaty i błękitny.

W kapeluszach wielka rozmaitość. Pojawiły się toczki ze słomki japońskiej w różnych kolorach; słomka ta miękka i układna, da się fałdować i nakręcać według woli.

Przyjęte również kapelusze z epoki „Dyrektoryatu;“ rondo u nich otwarte, podniesione w górę nad czołem, podpięte koroną z róż; do mniej strojnych, zamiast kwiatów podpinają rozety z jedwabnego muszlinu. W tyle główki wpięte dwa lekkie piórka zwracają się na rondo. Kapelusze te mają szarfy do związania pod brodę—atłasowe lub gros-grain, dosyć szerokie.

Z pomiędzy strojów przygotowanych na wystawę sztuk pięknych, dajemy te, które szczególniej wpadły nam w oko; inne zostawiamy do przyszłej korespondencyi.

Wiosna ociąga się jakoś w tym roku, poranki jeszcze chłodne. Widzimy też wiele kostiumów z lekkiego sukienka. Główną ich ozdobę stanowi biała albo szara gipiura. To połączenie koronki z suknem należy do najświeższych pomysłów i ładnie się przedstawia. Oto dwa kostiumy najświeższe.

Pierwszy z lekkiego sukienka w habrowym odcieniu. U dołu spódniczki idą cztery plisy sukienne, szerokie przeszło na cal, przystębnowane w górze, niżej puszczone wolno. Na to spada tunika z takiegoż sukienka, cała inkrustowana szarą koronką; w odstępach idą wstawki, pomiędzy niemi kwiatki koronkowe wpuszczone w sukno. Stanik gładki, mocno wykrojony, z okrągłym bawetem, spina się z przodu na rząd drobnych złotych guziczków. Na wykroju dany obojczyk szary koronkowy, podwleczony błękitną materyą. Rękawy wązkie, długie, u ręki odpowiedni mankiet.

Drugi kostium z pracowni pani Elizy Petit, z popielatej wełnianej tkaniny. Pod spód idzie spódnica jedwabna popielata, podgarnirowana od spodu falbanką, wyciętą w ząbki. Na tej naszyty wolant wełniany en forme, szeroki na pół łokcia. Od stanu do wolantu spada tunika, krajana w wielkie ukośne kliny, zakończona trzy razy czarną pletnią i sutaszem. Przedni i tylni bryt tworzą ząb spadający prawie do ziemi, boki podszyte na pół łokcia. Stanik obcisły, w tyle sięga tylko do pasa; przód otwarty w górze, przedłużony, tworzy okrągły bawet, objęty pletnią i sutaszem. Od góry do połowy stanika odwinięte wyłogi, naszyte czarną jedwabną plisą i plecionką. Kołnierz płaski przybrany stosownie. Pod spód idzie biała szmizetka z materyi surah, nagarnirowana muszlinem jedwabnym, takaż fryzka u szyi. Rękawy proste, obcisłe; u ręki plisa i sutasz.

W tejże pracowni zwróciła uwagę naszą bardzo piękna suknia z czarnej grenadiny w klarowny deseń, na jasno-błękitnym atłasie.

Najprzód idzie spódniczka ze sztywnej materyi błękitnej, zakończona wązką falbanką. Na to spada druga powłóczysta spódniczka z lekkiego atłasu błękitnego. U dołu naszyte po bokach cztery falbanki czarne grenadinowe, po dwie tylko z przodu i w tyle. Na wierzch idzie tunika grenadinowa, otwarta z lewego boku, objęta dokoła gipiurą na ćwierć łokcia szeroką. Stanik grenadinowy na błękitnym atłasie, spięty na lewym boku.

Przód cały naszyty wstawką i stalowemi palietkami. Na plecach wycięty w górze ząb, naszyty odpowiednio. Wkoło szyi przechodzi wstawka na błękitnym atłasie, ogarnirowana fryzką z białego muszlinu jedwabnego. Spódnica atłasowa razem z tuniką ujęta w pasek z czarnej podwleczonej wstawki, zachodzi na wierzch stanika. Ta wstawka spuszczona cokolwiek z przodu, tworzy niewielki bawet. Rękawy bardzo długie, dane na atłasie. U ręki wstawka, od spodu wybiega nafałdowany muszlin biały.

Seweryna Duchińska.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Z niektórymi miała sposobność rozmawiania, i przekonała się, że pod względem umysłowym są prawie prostaczkami. Dla większości, wyższa matematyka obcą była nawet z nazwiska. Jakiż ztąd wniosek? Ten chyba, że przy nizkim poziomie naukowym, brali oni chimerę za rzeczywistość i bawili się jak dzieci, albo jak ludzie bez kultury, złudzeniem, nazwanem przez siebie „miłością.“

— Jeśli jednak to złudzenie czyniło ich szczęśliwemi — szeptał w duszy Wandy głos nieśmiały—to czyż ich prostota nie była więcej warta od wysokiej wiedzy?

Głosowi temu Wanda nie dawała ucha. Owszem, tłumiła go, jakby był głosem szatańskim. Cały gmach jej umysłości wspierał się na przekonaniu, że tylko wiedza dać może człowiekowi szczęście prawdziwe.

Wszystko to tworzyło jakiś szczególny węzeł, nad rozplątaniem którego daremnie się siliła...

Troski te i niepokoje, kryjące się zwykle w mrokach, opadły ją teraz w biały dzień, jak stado kruków, i czarnemi skrzydłami słońce jej zakryły. Pochyliła głowę i oczy przymknęła.

Zbudził ją śmiech głośny, wesoły.

W odległości kilkudziesięciu kroków, przepływała barka, wioząca młodą parę, niedawno nad morze przybyłą.

Kobieta leżała na spodzie barki, wysłanej dużym kobiercem, zarzuciwszy ręce na szyję pochylonego nad nią mężczyzny. Oboje patrzyli sobie w oczy z niedającym się opisać wyrazem rozkosznego upojenia, i śpiewali na całe gardło jakąś piosenkę miłosną. Na ławce przy nich leżały kwiaty, pomarańcze i butelka z winem.

Fala, jakby przyjmując udział w wesołości tej pary, podrzucała figlarnie barkę do taktu piosenki; ptactwo morskie leciało za niemi z krzykiem rozgłośnym; słońce obrzucało ich i ich barkę snopami złotych iskier.

Przepłynęli, nie widząc Cieńskich. Nie dojrzeliby może i największego okrętu. Świat cały i ludzkość cała zamykała się dla nich w dwóch pojęciach i w dwóch słowach: ja i ty.

Wandę ukłuło coś w samo serce. Nic nie odpowiadając na pytania Cieńskiego, który stał się nagle rozmownym, kazała przewoźnikowi płynąć z powrotem.

— Wiecie? Ja już dalibóg nie wytrzymam dłużej w tej dziurze. Mam już potąd (pokazał na gardło) tego morza, tego piasku i tych trelów rybackich. Wściec się tu można, jak honor kocham! Ani dzienników, ani biblioteki, ani nawet jakiego takiego muzeum. Myślałem, że choć kamienie druidyczne znajdę, ale i tego nawet nie widać w tym kącie przeklętym!..

Cieński, z wypiekami na drobnej twarzy, biegał po niewielkiej izbie, potrącając proste sprzęty z białego drzewa i ciągnąc za sobą to w tę, to w drugą stronę, obłoczek dymu z papierosa.

Wanda słuchała go w milczeniu, skulona apatycznie na nizkim, słomą wyplatanym stołku. I ona trzymała w ustach papieros. Od pewnego czasu przywykła do palenia, częścią z nudów, częścią dla umyślnego narkotyzowania się.

— Jednakże — odezwała się po chwili sennym głosem — jest tu dość ludzi, bardzo zadowolonych i z miejsca i z pobytu w niem...

— Alboż to ludzie! — rzucił ze wzgardą Cieński.

— Nie goryle przecie... — zauważyła powoli.

— W każdym razie coś pośredniego pomiędzy człowiekiem a małpą. Jacyś urzędnicy, kupcy, malarze...

Wanda nic nie odrzekła.

— Jaka szkoda, żeście dotąd jeszcze nie poznali Nietschego—ciągnął Cieński. — Zaraz za powrotem dam wam jego dzieła do przeczytania.

Nie przestawali mówić do siebie „wy,“ uważając, że ta forma stwierdza wzajemny szacunek małżonków.

— Słyszałam coś o jego teoryi „nadludzi“— wtrąciła Wanda, otaczając się dymem.

— Pyszna, boska teorya! Bo jedno z dwojga: albo istnieje postęp i doskonalenie się ludzkości przez rozum, albo—stoimy i zawsze stać będziemy w miejscu. W ostatnim wypadku jesteśmy tylko trochę doskonalszą odmianą małp; w pierwszym — musimy uznać gatunkową różnicę pomiędzy ludźmi rozumnymi a głupcami. Ponieważ ostatni obraziliby się, gdyby ich zaliczono do gorylów i szympansów, (możeby goryle i szympansy również były o to obrażone), więc pozostawiając głupcom tytuł ludzi, musieli rozumni nazwać się inaczej. Ztąd to powstała nazwa *Uebermensch*, nietylko głęboko, ale i dowcipnie wymyślona przez Nitzschego.

Senne dotąd oczy Wandy zamigotały.

— W tem jest dużo racyi—zauważyła, cokolwiek się ożywiając.

Cieński zatrzymał się, bębniąc nerwowo palcami po stole.

— Pomyślcie—prawił ze wzrastającym zapałem—czy istnieje jakakolwiek łączność pomiędzy nami a nimi? My żyjemy mózgiem, organem najszlachetniejszym; oni cel i motor życia umieścili w żołądku. Nie sąż to gąsienice, łażące po drzewie życia po to tylko, aby liście na niem obżerać? Nie sąż to podrzędne rodzaje stworzeń, zajęte wyłącznie akcyą rozrodczą?

Wanda słuchała z wielką uwagą.

— Jednak—zauważyła — oni szczęśliwsi są od nas.

Cieński zmarszczył się tak silnie, że aż mu binokle z małego nosa spadły. Potem zaśmiał się piskliwie.

— Być może—rzekł wreszcie, dusząc się od tłumionej uciechy. Ale szczęśliwszemi jeszcze od nich są wieprze i osły.

Teraz i po ustach Wandy — która zresztą nigdy się nie śmiała — przemknął wyraz wewnętrznego zadowolenia.

Cieński prostym i prostackim argumentem przywrócił jej spokój, za którym oddawna już daremnie goniła. Hydra zwątpień, w ostatnich czasach mózg jej szarpiąca, otrzymała prawdziwe uderzenie pałką w łeb. Zabita, czy tylko ogłuszona, wypuściła ją w każdym razie ze swych szpon tygrysich.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MALARSTWO.

Do salonu w Hotelu Europejskim zawitali goście z Krakowa. Poważnie pod względem jakości i ilości przedstawia się wystawa Towarzystwa artystów polskich „Sztuka.“

Marzyciel pędzla Wyczółkowski—Chełmoński czciciel przyrody, przypuszczony do ołtarza jej tajemnic—Mehoffer duch niespokojny, posępny, szukający piękna w brzydocie, Masłowski, w którym hardość i wichrowatość dziedzictwem jakiemś po pokoleniach pomarłych przejęta, walczą z melancholią współczesną—Fałat męzki, energiczny, skupiony — Tetmajer w barwności kostyumów ludowych i pól słonecznych rozkochany—Aksentowicz, twórca czarodziejskich główek niewieścich — mało znany u nas Jacek Malczewski — ekscentryczna, falą najświeższych prądów artystycznych porwana Olga Boznańska — i tylu innych nadesłało tu plony twórczości swej.

Zacznijmy od tej „Czwórki,“ szalonej czwórki Chełmońskiego, która czterema parami kopyt świeci w oczy wchodzącemu do Salonu widzowi. Dużo opowiadano o „apokaliptycznych“ bestyach Chełmońskiego (wyrażenie to stworzył, zdaje się, Sarnecki), jednakże kto słyszał o nich tylko, a nie widział, ten zdumiony stanie przed olbrzymiem płótnem, z którego tryska tyle niepohamowanej (tu posłużyć się muszę nadużytem dziś wyrażeniem) żywiołowej potęgi. Te konie, upojone biegiem, jak walcem namiętna tancerka, zapamiętałe, dzikie, niepowstrzymanym zda się pędem rwą naprzód—choćby na śmierć.

Jakąż to silną potrzeba być duszą, by pęd podobny wymarzyć, by takiego pędu, takiego rwania przestrzeni, takiego wysiłku zapragnąć. Pierwszy zwłaszcza od strony lewej

koń, zdaje się być szaleńcem zbuntowanym przeciw czasowi i przestrzeni, zda się być wcieleniem tej utajonej w przyrodzie, nieświadomej siebie potęgi, która czasem odzywa się rykiem fal morskich, lub grzmotem burzy, czasem wichrem dusz ludzkich się zrywa.

Senność krajobrazu, spokojny wyraz twarzy chłopów, siedzących na biedzie, rwanej przez rozszalałe bieguny, wspaniale przeciwstawiają się tej czwórce „z piekła rodem."

Wyczółkowski umiłowany swój Gewont, malowany po tyle razy, ukazał nam znowu w mrokach nocy. Nad olbrzymem błyszczą gwiazdy w górze; na ziemi u podnóża płoną jakieś światełka. Wielkie milczenie idzie na widza od tej góry mrocznej, od tej nocy górskiej, cichej.

Wystawione obecnie u Krywulta prace Masłowskiego tak różnią się charakterem i techniką od ukazywanych poprzednio, że aż poznać trudno, iż to dzieła tej samej ręki i tego samego ducha.

Artysta uspokoił się w kolorycie, poprawił rysunek. Niema już tych jaskrawych czerwieni pożarnych, tych karminowanych zachodów słońca, które spotykaliśmy dawniej, niema rozwichrzeń fantazyi twórczej, ale jest też mniej polotu. Znać za to pracę, znać usilne, systematyczne dążenie do doskonałości. Artysta dał przeważnie portrety ludzi i zwierząt. Bardzo ładne są portrety dwóch koni i prześliczny portret charta. Ile tylko może być poezyi w liniach zwierzęcego ciała, w jedwabistości białego, długiego włosa, tyle włożył jej artysta w swój mały obrazek. Typ górala z okolic Rymanowa, typ wojskowy austryacki, typ starego żołnierza, pewną zamaszystością i siłą przypominają znane mi dawniej prace Masłowskiego. „U wejścia do pracowni" jest jedynym momentem fantastycznym w całym tym zbiorze.

Najliczniej przedstawia się twórczość Mehoffera.

Zacznijmy od własnego portretu artysty, bo twarz człowieka często jest kluczem do zrozumienia jego twórczości. Widzimy postać wątłą fizycznie, twarz drobną, szczupłą, o dużych skupionych oczach. Jest w niej rozlana pewna zgryźliwość jakby chorobliwa, jakby w cierpieniu fizycznem mająca źródło. Publiczność warszawska poznała go z obrazu „Chrystus w Emaus," wystawionym w panoramie Golgoty, i podzieliła się wówczas na dwa odłamy. Jedni chwalili bardzo, drudzy bardzo ganili. Jest to w każdym razie dowodem niepospolitego talentu. Miernoty nie pobudzają do dyskusyi.

Posępny ton obrazów Mehoffera jest w zgodzie z tą zgryźliwością bolesną, którą dostrzegamy w wyrazie jego fizyonomii. Artysta ten nie goni za słońcem, za pogodą, harmonią linii i barw. Lubuje się w zgrzytach, w brzydocie. Jego „Dziewczynka zaplatająca warkocz," jest brzydkiem, małem stworzeniem, śmiesznem powagą i godnością, z jaką spełnia tę prostą czynność. Swoją drogą jest to wyborny portret dziecka dojrzałego przedwcześnie, dziecka starego. Inne jego „Dziewczynki" są jeszcze brzydsze, są tak brzydkie, że aż przychodzi na myśl, iż w rzeczywistości musiały być ładniejsze. Artysta wydobył z nich umiłowany przez się pierwiastek brzydoty. Jest straszna melancholia w tem wyjawnianiu brzydoty; dysharmonia wewnętrzna szuka dla się wyrazu, uzewnętrznienia.

Z uczuciem pewnej ulgi przechodzimy do cudnych pastelowych twarzyczek Aksentowicza. Ta sama główka na pierwszym obrazku zatytułowana „Rude włosy" powtarza się trzy razy, zawsze pełna wdzięku, czy gdy patrzy słodkiemi, ciemnemi oczami, czy kiedy spuściwszy powieki, cierpieniem jakiemś zmieniona, chyli się w tył.

Ze wszystkich portretów tu zebranych najwięcej życia posiada praca Augustynowicza portret p. Cz. Znakomicie zwłaszcza zrobione są oczy. Przed bystrem ich, przenikliwem spojrzeniem mimowoli opuszcza się wzrok, bo spojrzenie to zdaje się należeć do człowieka żywego.

Poprzedzony broszurą Miriama, poświęconą analizie jego twórczości malarskiej, Władysław Ślewiński po raz pierwszy nadesłał większą ilość prac swoich.

Wyznaję, że obrazy te wbrew przyznawanym im przez poetę zaletom, nie robią na mnie głębokiego wrażenia. Dwie Bretonki o brzydkich, pospolitych twarzach, niczem nie pociągają ku sobie. Wypukłość zdobywana przez artystę przy pomocy grubego konturu, wskazywać się zdaje na niedostatek innych środków technicznych.

Studya z Bretanii, zwłaszcza krajobrazy morskie, choć i tam nieprzyjemnie rażą mocnym konturem zaznaczone grzbiety fal, zostawiają silne dosyć wrażenie ogromu i melancholii właściwej bezbrzerzom mórz.

Najmniej interesująco z całego zastępu malarzy krakowskich, przedstawił się na wystawie Wojciech Weiss. Jego „Melancholik" z żółtym kwiatkiem w dziurce od guzika i z idyotycznym wyrazem twarzy, jest zabawny.

Od „Pokusy" nie dziw, że odwraca się kuszony, bo „Pokusa" jest wstrętna.

Antoniego Piotrowskiego „Nad morzem" jest to obraz przeładowany treścią literacką, skutkiem tego dziwnie nużący.

Na skale stoi kobieta z dzieckiem na ręku i błędnym wzrokiem patrzy w toń, z której podnoszą się szare, oślizłe ręce jakiegoś topielca czy topielicy, i chwytają już za rąbek jej szaty. Z drugiej strony stara kobieta o zbrodniczym wyrazie — symbol czy rzeczywistość, niewiadomo — przyklęknąwszy za młodą matką, spycha jej nogę ze skały.

Wobec takiej z dwóch stron zachęty wątpić niepodobna, że kobieta rzuci się w otchłań.

Przy bogactwie coraz to nowych, interesujących zbiorów, spotykanych w Salonie Krywulta, dziwnie smutno odbija zastój i martwota Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Nic się tam nie zmienia, nowe dzieła nie przybywają. Widujemy ciągle to samo. Nie dziw, że coraz mniej tam zwiedzających.

Wprawdzie i przed widzianemi kilka razy stanąć można długo, i zapatrzyć się, i zadumać; niemniej choćby w pedagogicznym celu kształcenia publiczności, pożądanym byłby większy ruch.

Fałata „Z oszczepem" przykuwa zawsze uwagę. Energiczne, silne postacie myśliwych, zawzięta twarz litewskiego chłopa, świeżość leśnej atmosfery, którą zdaje się powonienie nasze wyczuwać, nęcą widza i rzucają nań silny urok.

Przed obrazem Stankiewiczówny, noszącym tytuł „Z legend ludowych," zawsze też przystanąć trzeba na długą chwilę. Oto u podnóża skały, na której wznosi się coś niby szczątek zamczyska, wąwozem wśród skał płyną mgły—nie mgły. Niby za trumną jakąś orszak mar białych sunie, nad wąwozem jakieś widma łamią dłonie, może to tylko kamienie w pomroce nocnej kształty biorą fantastyczne.

Obraz-marzenie na długo pozostaje w pamięci.

H. C.

Miliarderzy Amerykańscy.

(Dokończenie).

Tą samą drogą, którą szedł do fortuny Rockefeller, szli także w różnych czasach równi mu stanowiskiem królowie rozmaitych gałęzi przemysłu. Czego dokonał Rockefeller w przemyśle nafcianym, to samo praktykowali: Vanderbildt i J. Gould w kolejowym, Henryk Havemeyer w cukrownictwie, Andrew Cornegie w fabrykacyi stali — to samo zniszczenie siał Robert Knight stojąc na czele industryi bawełnianej, a W. Clark spekulując monopolem miedzianym.

Jednomyślną jest zgoda wszystkich ludzi świadomych tajników amerykańskiego przemysłu, że szczególną między tymi pieniężnikami drapieżnością odznacza się król przemysłu cukrowego Havemeyer. Na 24 rafineryi cukru, które posiadają Stany Zjednoczone, 22 znajdują się już w rękach tego człowieka. Rozsypane one są w dziewięciu wielkich miastach, mianowicie: Brooklynie, Philadelfii, Bostonie, Jersey-City, San-Francisko, Portland, Baltimore, Saint-Louis i Nowym Orleanie. Każda z tych rafineryi zatrudnia 1,000 z górą robotnika. Dodajmy jednakże do tego że w każdem z tych miast fabrykacyę beczek transportowych dla cukru, składy węgla opałowego, 9 fabryk produkujących węgiel zwierzęcy, dodajmy magazyny, doki i składy, a pokaże się, że jest w tym kraju wolności trzydzieści z górą tysięcy indywiduów wraz z ich rodzinami, zależnych zupełnie od syndykatu cukrowego.

Henryk Havemeyer, owładnąwszy tedy całą produkcyę cukrową i cały handel hurtowy tym towarem, wyciągnął w końcu rękę i po monopol handlu detalicznego także. Obecnie tak już jest w Stanach Zjednoczonych, że episier nie może sprzedawać cukru w swoim sklepie po cenie, jaką mu jego interes, regulowany prawem konkurencyi żądać nakazuje. Obecnie wszyscy tacy są tylko agentami syndykatu; sprzedają cukier po cenach z góry naznaczonych, za co otrzymują swój skromny bardzo procent.

I Havemeyer miał swoje zatargi ze sprawiedliwością i to bardzo kłopotliwe podobno, ale właśnie służyć może jako dowód bezkarności zupełnej, chełpliwe tego człowieka popisywa-

nie się w sądach z ogromnemi bogactwy, jakie zgromadził.

Przyznał on tam, że syndykat rozporządza mieniem 150 milionów dolarów, że on, jego przedstawiciel ściąga od nich rocznie 20 procent zysków do swojej kieszeni.

Niedarmo też głoszą dziś Amerykanie, że blizkim jest bardzo czas, w którym Havemeyer położy rękę i na europejskiej produkcyi cukru wyrabianego z buraków, że zamierza on nadprodukcyę kolonialną rzucić na rynki Europy, i tym sposobem rozpocząć konkurencyę z cenami naszemi, że wkrótce cały przemysł tutejszy, nie mogąc wytrzymać współzawodnictwa, będzie musiał pójść w służbę amerykańskiego, a wówczas już wszechświatowego, syndykatu.

Czy tak będzie w istocie, nie jesteśmy w stanie przewidzieć, to pewna wszakże, że Havemeyer ma środki olbrzymie, a żadne prawie osobiste potrzeby, że jest na czysto maniakiem idei ciągłego gromadzenia pieniędzy w swoim ręku, a ma dopiero lat 51, i zdrowie podobno dobre.

O królu kolejowym J. Gouldzie, zmarłym przed niewielu laty, wspominaliśmy już po kilkakroć czytelnikom; używał on w swoim kraju opinii, której mu pewnie nikt nie zazdrościł. Norwins, który jest biografem tych wszystkich rycerzy nowego zakonu, powiada, że amerykanin pewien, który mu jako gazeciarz ciceronował po New-Yorku, zaprowadził go raz także i na giełdę. Zaledwie tam weszli, dowcipny dziennikarz pociągnął Norwinsa w pewien zakątek sali, gdzie z pod filaru wydawał rozkazy swoim agentom osławiony król kolejowy.

— Ależ, jesteś pan człowiekiem niezwykłej szansy! Zaledwie postawiłeś nogę w New-Yorku, już trafiasz na widowisko, jakiego z tubylców nikt dotąd nie widział.

— Nie widzę nic osobliwego—odpowiedział Norwins. — To Gould—wiem o tem, a nawet znam go.

— Ależ przypatrz mu się; stoi oparty o filar i trzyma obie ręce w swoich kieszeniach.

— Czy to ma stanowić osobliwość?

— Ma się rozumieć. Toż ten łotr kładzie zawsze ręce do kieszeni, ale cudzej.

Oto są ci, którzy trzęsą tem społeczeństwem — ci, którym służą, zazdroszczą i pochlebiają tłumy.

Powiada Norwins, że niewiele jest w Stanach Zjednoczonych nazwisk, dokoła których unosiłoby się tyle przekleństw i nienawiści, jak dokoła imienia Roberta Knight, króla bawełnianego. Zdawałoby się, że własna nędza jego w wieku dziecinnym i w młodości nie powinna była dopuścić takiego wyzysku w epoce, w której już stał on na czele środków potężnych, tymczasem stało się inaczej. Ten człowiek, który niegdyś nie zarabiał nawet $1^1/_2$ dolara tygodniowo, umiał być nieubłaganym w miarę, gdy się wydobywał na wierzch, i właśnie ta jego bezwzględność stała mu się pierwszym szczeblem do zyskania majątku. Długi bardzo czas prowadził interesa wspólnie z bratem swoim, a po jego śmierci zyskał tę wyłączność w przemyśle tkackim, jaką zdobyli powyżej wymienieni w rozmaitych innych gałęziach industryi. Od zapalczywej drapieżności tego człowieka szczególniej rażąco odbija jego niby czułość na wdzięk przyrody, której jest entuzyastycznym wielbicielem. Mają, jak wiadomo, takie niekonsekwencye w charakterach istoty całkiem pozbawione uczuć humanitarnych, i to je czyni o bardzo wiele potworniejszemi jeszcze. Sentymentalizmem podszyta drapieżność, to drapieżność podwójnie wstrętna. Właśnie takiemi zamiłowaniami odznacza się Roberth Knight. W głównem centrum jego produkcyi, w White-Rock, jest park zarosły bardzo staremi drzewami. Rozsiane w tym parku gmachy fabryczne są tak pozbawione światła, że okazała się konieczność wprowadzenia oświetlenia elektrycznego nawet o białym dniu. Od poranku do zmierzchu pracują robotnicy przy tem oświetleniu sztucznem. Setki tych ludzi tracą wzrok corocznie od oślepiającego blasku, ale to przecież nie może być względem żadnym.

Andrew Cornegie, szkot z pochodzenia, stawszy się wszechwładnym w produkcyi stalowej, uznał za stosowne pozwolić sobie na pewien zbytek filantropii. Udarował bibliotekę Pittsburską funduszem 1 miliona dolarów, a miastu, w którem dorobił się tak wielkiej fortuny, przyobiecał ofiarę 4 milionów dolarów. Niezależnie od tego rozdzielił summę półtora miliona dolarów między biblioteki innych miast Pensylwanii, i dał 400,000 dolarów swojemu krajowi rodzinnemu. Zresztą ma ten człowiek swoje ambicyjki zaliczania się do świata intelligencyi, interesują go polityka i kwestye religijne, i odrukował nawet w tych materyach 3 tomy prac swoich—czy swoich zupełnie niewiadomo, ale za to wiadomo, że nieszczędzono dla nich płatnej reklamy dziennikarskiej.

Taki, jakim jest ten człowiek, stanowi on jednakże wyjątek w sferze miliarderów, bo i to jest niewątpliwem, że tym posiadaczom bogactw niezmiernych zbywa nietylko na nauce, ale na jakiem takiem oczytaniu i polorze towarzyskim. Nawet kobiety tej przodującej klasy odznaczają się nieuctwem i prostactwem zupełnem, które naturalnie w tych ramach blasku i zbytku nader rażąco odbijają. Dziwy opowiadają o takiej p. Leiter, żonie króla zbożowego w Stanach Zjednoczonych. Jest ona w swoim kraju postacią ośmieszoną, pomimo że ma zięciem sławnego człowieka, sir Williama Curzon wicekróla Indyj. Podczas jednej ze swoich podróży poleciła ona zrobienie portretu córki Meissonier'owi. Gdy już portret był ukończony zażądała, aby jej wskazał znakomitego jakiego rzeźbiarza.

— Mary ma bardzo piękną rękę; chciałabym mieć koniecznie *biust* tej ręki.

Zapytana po powrocie ze swojej podróży na Wschód przez pewną przyjaciółkę, czy widziała Dardanelle, odpowiedziała:

— Ależ naturalnie! Jakżebym nie miała widzieć Dardanellów? To są ludzie bardzo mili. Dwa razy byli u nas na obiedzie.

Taka ciemnota w rzeczach sztuki i geografii nie jest jedyną ciemną stroną jej osoby—ma o wiele ujemniejsze rysy w moralnym swoim ustroju. Dość powiedzieć, że ta kobieta nie dała nigdy jednego dolara na żadne dzieło miłosierdzia.

K.

Mikroby influenzy.

O ile człowiek nauki bada objawy, śledzi przebieg, i doszukawszy się przyczyny choroby, obmyśla przeciw niej środki zaradcze, o tyle profanowi chodzi przedewszystkiem o nazwę cierpienia, które mu zagraża, albo którego stał się ofiarą. Nazwa jest dla tłumów rzeczą tak ważną, jak gdyby uczyła, objaśniała, a w dodatku wskazywała sposoby uzdrowienia. Lekarz, który choremu nie powie terminu naukowego, jakim ochrzczono jego dolegliwość, pozostanie zawsze jego dłużnikiem, a w dodatku pozostawi mu wrażenie nieuka, choćby go od cierpienia uwolnił i na nogi postawił.

Tymczasem ta nazwa jest w istocie niczem, a wszystko opiera się na wyszukaniu źródła złego, wynalezieniu środków zaradczych na razie, i zapobiegawczych na przyszłość. W gruncie rzeczy obojętnem jest dla ludzkości zupełnie, jak w dziele lekarskiem mianują to naprzykład najpowszechniejsze z cierpień współczesnych, któremu w pewnych porach roku podlegamy wszyscy, a które pomimo lekceważenia, jakiego jest przedmiotem, kończy się niekiedy tragicznie. Katarem nazywaliśmy je jeszcze niedawno, obecnie wiadomo nam, że zwie się ono influenzą, a ongi, ongi tak przed stu laty naprzykład, zmiatało to licho biedną ludzkość, i wtedy mówili wszyscy, że to, co szerzy takie spustoszenia, to grypa.

Dr. L. Caze, podając historyczny przebieg tej choroby epidemicznej, mówi, że srożyła się ona niezmiernie we Francyi w roku 1776, że następnie panowała grypa w Paryżu w r. 1803, a upamiętniła się tem, że sprzątała przeważnie ludzi pióra, artystów i aktorów. Nie wdając się w dochodzenia przyczyn takiej szczególnej przeciwko dzieciom muz zawziętości ze strony tej grypy czy tej influenzy, wolimy powiedzie czytelnikom, co o niej trzymała nauka ówczesna. Doktór Chauvot naprzykład, lekarz ciała prawodawczego za konsulatu, a zatem jedna z powag naukowych swojej epoki, napisał monografię grypy, w której powiada wprost, że jest to sobie najzwyczajniejsza gorączka kataralna albo reumatyczna, o krótkim przebiegu—wogóle cierpienie z natury swojej przemijające, przeciw któremu wysoka temperatura i dyeta są dostatecznymi środkami leczniczymi, a jeśli doświadczenie świeże nauczyło ludzi, że umiera się na grypę, to niechajże wiedzą wszyscy, mówi dr. Ch., że zawdzięczamy tę śmiertelność bogactwu środków leczniczych i prewencyjnych, którymi hojnie szafuje nauka. Broszura zrobiła wrażenie. O ile miała ona słuszność twierdząc, że lekarze przyczyniali jej ofiar sami, trudno jest rozstrzygnąć dzisiaj, to wszakże jest pewnem, że co się tyczy uznania grypy, jako cierpienia przemijającego natury kataralnej, szanowny uczony mylił się zupełnie.

Trochę więcej chyba wie w tej sprawie nauka dzisiejsza. Wie ona już dzisiaj, że zarazek influenzy jest to mikrob wędrowny,

który podobnie jak mikrob cholery przenosi się lądem i morzem zarówno, a to tem pewniej i bezkarniej, że jest niedostrzegalnym dla wzroku ludzkiego. Ostatni Listopad przebył ten mikrob w Turcyi wedle zapewnień amerykańskiego bakteryologa Wymana. Wogóle szlaki jego stanowią wielkie trakty handlowe, linie uczęszczane przez parowce; na tych szlakach przydybują go niekiedy uczeni i poddają badaniom mikroskopowym, a pierwszym, któremu się to udało był profesor niemiecki Robert Pfeiffer z Berlina w roku 1892. Zdaniem tego uczonego, siedliskiem zarazku influenzy w organizmie ludzkim są tkanki płuc i oskrzeli, niemniej wydzieliny błony śluzowej organów oddechowych. Zwykle znajdują go w grupkach liczących 30 do 40 indywiduów. Dostaje się do wnętrza organizmu przez nos i usta. Ponieważ nie może żyć bez tlenu, wybiera sobie organa oddechowe. Nasienie influenzy zamiera w 24 godzin, gdy jest w stanie wyschnięcia albo pogrążone w wodzie; w ślinie żyć może od tygodnia do dwóch, ale za to trwa miesiące a nawet lata całe w ciałach ludzkich dotkniętych dyfterytem, chronicznym bronchitem, albo chronicznem zapaleniem płuc bez względu na temperaturę zimną lub gorącą.

Nasienie to zbliża się kształtem poniekąd do jajka, i podobnie jak jajko ma swoją powłokę zewnętrzną. Wewnątrz mieści się tam substancya włóknista biaława, zbliżona do białka, a w środku jej protoplazma, którą możnaby porównać do żółtka.

To całe nasienie influenzy jest w organizmie ludzkim w stanie czynnym, a czynność jego polega na wytwarzaniu pewnego specyficznego jadu płynnego, stanowiącego zarazek właściwy, i trzeba dobrze pamiętać o tem, że to nie sam mikrob bynajmniej rodzi influenzę, ale ta jego wydzielina, o której mowa powyżej.

Powiedzieliśmy już, że zarazek influenzy jest wędrownym zarazkiem, teraz wypadnie nam objaśnić w jaki on sposób przenosi się z miejsca na miejsce, nie posiadając organów ruchu — nóg ani skrzydeł. Przyczepionego raz przypadkowo do osoby człowieka, przenosi do ust lub nosa jego ręka, a raz się tam znalazłszy, obiera on sobie schronienie w głębokich szczelinach języka, któremi cała powierzehnia tego ostatniego jest pokryta. Jeden rzut oka przez mikroskop na język ludzki dać nam może wyobrażenie tych wielkich nierówności. Ztamtąd oczywiście przez przewód oddechowy ma drogę otwartą do gardła i płuc, gdzie w krótkim bardzo czasie wypełnia dzięki szybkiemu rozradzaniu się swemu, wszystkie tkanki organów oddychania. Jego rozradzanie odbywa się przez odrastanie na długość, i dzielenie się na części, co się spełnia w ciągu każdych dwudziestu minut czasu. Każde nowe nasionko influenzy podlega temu samemu prawu, tak, że z jednego zarodka w ciągu dwudziestu czterech godzin rozplenić się może w organizmie ludzkim 16,5000,000 indywiduów chorobotwórczych.

Przed odkryciem profesora Pfeiffra było mniemaniem powszechnem, że zarazek influenzy przebywa w atmosferze, i że ztamtąd dostaje się organizmom ludzkim w porze mianowicie, kiedy powietrze jest ciężkie i przesycone wilgocią. Hipotezę tę zwalczają bakteryologowie dzisiejsi. Wedle Jenkinsa członka instytutu bakteryologicznego w New-Yorku, nie należy do niepodobieństw, aby organizm człowieka pochwycił zarazek z atmosfery także, o ile ta przez rozpylanie zeschłych wydzielin nasycona będzie mikrobami influenzy, powszechniejszym wszakże będzie wypadek bezpośredniego zarażenia się człowieka od człowieka. Zresztą w wielkich miastach nie brak bynajmniej na sposobności odpowiedniej; ludzie się tłoczą, ściskają, podają sobie ręce, zbliżają się twarzami do siebie, tak, że raczej dziwićby się należało, gdyby wśród panującej epidemii znalazły się jednostki, któreby uchronić się przed nią zdołały.

Mniema jednakże dr. Jenkins, że są środki profilaktycznego zabezpieczenia się przeciw influenzie, przez które on rozumie: dobre pożywienie — essencyonalne i dobrze gotowane lub pieczone, hygieniczne napoje, sen dostateczny, czystość ciała, unikanie mieszkań ze zbyt wysoką temperaturą, stronienie od zgromadzeń, w których dzięki natłoczeniu unosi się w atmosferze charakterystyczna woń ciał ludzkich.

Do innych środków ostrożności, które radzi zachowywać bakteryolog amerykański, należy unikanie przechodzenia z temperatury wysokiej do nizkiej i odwrotnie, staranne czyszczenie szczotką wszystkich części ubrania, skrupulatne mycie się i przepłukiwanie jamy ustnej, gardła i nosa wodą toaletową dezynfekującą, przyjmowanie do wnętrza chininy w dawkach umiarkowanych.

Nie wyklucza ta cała ostrożność możności podpadnięcia zarazie, ale niby należy robić co wskazuje rozsądek, aby zwiększyć szanse zabezpieczające. Leczenia w ścisłem znaczeniu tego słowa nie podaje żaden z wymienionych przez nas lekarzy, zdaje się, że polegać ono będzie na tej wskazanej ostrożności, a nadewszystko na zachowaniu się w okresie rekonwalescencyi. Za niebezpieczne bardzo uważają wszyscy doktorzy narażanie się w tym peryodzie na zmiany temperatury, albowiem rozdraźnione zarazkami organa oddychania, postawione są przez to samo w stanie zmniejszonej odporności, i podległe w wysokim stopniu procesom zapalnym.

K.

PRAWO ROZWODOWE

we Francyi.

Znany francuzki publicysta p. Hugues-le-Roux ogłosił bardzo wymowny, a nawet sensacyjny artykuł, który sam nazywa wołaniem o pomoc do reprezentacyi narodowej swojego kraju. Wybrańcy narodu zawotowali prawo, niechajże te sfery rozejrzą się w następstwach, jakie uchwalona przez nich ustawa wywarła na obyczaje.

Ma tutaj p. Hugues-le-Roux na myśli osławione prawo rozwodowe, znane pod nazwą prawa Naquet'a. Nie obce ono jest w treści czytelnikom „Tygodnika;“ pisaliśmy o niem notatkę sprawozdawczą odnośnie do sfer oświeconych, i o wpływie reformy na obyczaje klas możniejszych, podawaliśmy cyfry, wyjęte przez ludzi bezstronnych z akt trybunałów rozpatrujących sprawy rozwodowe. Obecnie, streszczając pracę p. Roux, chcemy dać miarę czytelniczkom naszym, jak się rozluźnienie stosunku małżeńskiego i jego łatwa rozerwalność natychmiastowa, odbiła na obyczajach klas wyrobniczych Paryża, a zatem klas najmniej możnych i najmniej oświeconych. Ponieważ zaś zwyczajem fałszywych albo głupich przyjaciół ludu jest stawiać zawsze zarzut, że kto chce ludowi odebrać jego swobody, ten zawsze zaczyna od spotwarzania go, przeto nie chcąc autora narazić na takie posądzenie, wolimy powiedzieć odrazu, że niema tam zdaniem naszem miejsca na potwarze, gdzie przychodzi jako argument najwymowniejszy cyfra, a cyfry są w tej pracy istotnie stroną jej najmocniejszą—są podstawą i materyałem gotowym do wydania wyroku zarazem.

Niema już w pojęciach francuza dzisiejszego nierozerwalności związków małżeńskich. Małżeństwo to nietylko nie sakrament, ale nawet nie umowa żadna, jeśli przez umowę rozumieć mamy obustronne przyrzeczenie pewnych warunków w jakimkolwiek stosunku ludzkim, wraz z zobowiązaniem dotrzymania tego, co się przyrzekało.

P. M. Guillot sędzia instrukcyjny, a nadto członek akademii francuzkiej, rozpatrując okiem moralisty cyfry statystyczne, sporządzone z akt sądowych, ztwierdził, jak to zaznaczyło wielu już przed nim uczonych jurystów, że wogóle zbrodniczość wzrasta w Paryżu w stosunku zastraszającym, a co najsmutniejsza, że ten przyrost przestępstw dotyczy w pierwszym rzędzie nieletnich, to jest dzieci i młodzieży pomiędzy 13 i 20 rokiem życia przeważnie ze sfery rzemieślniczo-robotniczej. Tam jednakże, gdzie winowajcą jest dziecko, tam sędzia zapytać musi koniecznie o rodzinę, z której ono wychodzi, bez tego bowiem objaśnienia ani istota czynu, ani stopień winy określić się nie daje. Otóż w danej kwestyi cyfry powiedziały same przez się bardzo wiele panu Guillot. Dzieci występne okazały się w przeważnej liczbie wypadków dziećmi opuszczonemi przez rodziców, a opuszczenie to znowu było bezpośrednim następstwem prawnego za wyrokiem sądowym rozdziału współmałżonków.

Szczególnie bo przyznać należy przygotowały wypadki polityczne we Francyi grunt pod to prawo rozwodowe, którego w całym przebiegu obniżania się stopniowego moralności we Francyi, nie można inaczej uważać, jak za uwieńczenie dzieła wewnętrznego upadku.

(Dokończenie nastąpi).

Juliusz Zeyer.

Trzy legendy o krucyfiksie.

przełożył z oryginału MIRIAM.

III.

Samko Ptak.

Legenda Słowacka.

(Dalszy ciąg).

Podniósł oczy ku niememu niebu, nagle wszakże przypomniał sobie Chrystusa i drogie jego rany, i ucichł. A po chwili uczuł coś jakby radość. Wygnali go, mógł tedy iść dokąd chciał. Pójdzie tam, do onej samotni, gdzie się narodził. Powiedzieli mu wprawdzie, że tam inny dom stoi, że wszystko, co było jego, pan jego innym już rozdał. Ale jakże to być mogło? Z pewnością chcieli go tylko pomęczyć takiemi opowieściami, pośmiać się z jego niepokoju. Dowlókł się tedy do miejsca, gdzie niegdyś stała biała chałupka, gdzie jego prababka siadywała i przędła, słuchając gwarzeń ptactwa leśnego. Dowlókł się tam i znalazł dwór, od wrót którego odegnano go kamieniami! A teraz leżał tu ukryty w jaskini i pytał siebie:

— Dokąd pójdę?

I na pytanie to nie znajdował odpowiedzi! W głowie czuł mgłę jakąś nieprzejrzystą, i tylko chwilami, jakby w błyskawicznem olśnieniu, spostrzegał on niewyraźnie strome szczyty, wokół których orły krążyły i z których srebrne lały się wody.

— Tam! — rzekł sobie ze słabym uśmiechem.

Szum deszczu kołysał go jednostajną swą gędźbą, i Samko usnął cicho. To słówko „tam“ zmieniło się w ustach jego w krótki, słaby, słodki świegot chorego ptaka.

Pierwsze różane promienie słońca przyszły Samka budzić do mchem porosłej jego groty. Wstał i umył się w rzece. Znalazł nieco dojrzałych brusnic i poziomek i zaspokoił głód. Potem udał się w drogę, dokąd nogi go niosły. Szedł wzdłuż potoku, w kierunku przeciwnym od dworu, kędy nań wczoraj kamieniami rzucali. Szedł długo, cały dzień, noc spędził pod kwitnącym krzewem, a na drugi dzień, gdy słońce było już wysoko, ujrzał niewielkie miasto, po nad którem strzelał potężny kościół z wysokiemi wieżami, pięknemi, z samych kolumn, tworzących powietrzne piętra; im wyżej od ziemi, tem cieńsze były kolumny, unoszące łuki, a te najwyższe, pod samym dachem, tworzyły ogromną jakąś klatkę, w której wisiały dzwony, wydzwaniające w tej chwili uroczyście i lejące potężną gędźbę swą w czyste, złote powietrze. Samko byłby z pewnością ominął miasto; wiedział, że gdzie są ludzie, tam go czeka urągowisko, gwałt i niezasłużona, ślepa nienawiść, ale te dźwięki falujące w lazurach niebios, wołały go. Dla Samka był dzwon jakimś ogromnym śpiżowym orłem o anielskim głosie, ptakiem, mieszkającym wysoko ponad nienawiścią ludzi, sąsiadem chmur, druhem wiatrów, ale zarazem ptakiem nieszczęsnym, bo uwięzionym, przywiązanym ptakiem, którego śpiew głęboki i smutny był wielką skargą.

Samko zwrócił się ku miastu, dokąd dzwon go wołał. Pójdzie do kościoła. Tam zobaczy z pewnością obraz biało odzianego Chrystusa w rozblaskach tła złotego, Chrystusa z wielkiemi, ciemnemi oczami, patrzącemi z jasnej wyżyny ku niemu w dół, w mrok, bez szyderstwa, z dobrocią, bez wzgardy, bez surowości. Usta tych obrazów uśmiechają się do każdego, tedy do Samka także, a Samko nie pamiętał, aby od śmierci prababki ktoś doń się uśmiechnął. A w tych błogosławiących rękach Chrystusa nie będzie bicza!

Spojrzenie pełne miłości, pełne współczucia! Jak ciepło robiło się Samkowi w sercu na myśl o tem! Pośpieszył do miasta.

Ulice pełne były ludzi świątecznie odzianych, domy były ozdobione wieńcami, a z wysokich ich dachów wiały długie proporce. Na Samka nikt nie zwrócił uwagi; bez obelgi, bez urągowiska, bez przykrego słowa, doszedł biedaczysko cały zdumiony tą niezwykłą łaskawością, do wielkiego placu, gdzie stał piękny ów kościół, który zdaleka widział. Ale tłok był tam niezmierny; Samko znalazł się po chwili w tak gęstym tłumie, że ani kroku dalej zrobić nie mógł i ledwie oddychał.

Z rozmów prowadzonych dokoła zrozumiał, co to wszystko znaczyło.

Cesarz bizantyński i dziesięciu królów ze Wschodu wracało z odwiedzin u cesarza rzymskiego, i tędy wiodła ich droga ku Dunajowi, po którym na wyzłacanych łodziach, o purpurowych, perłami i srebrem szytych żaglach, w dół popłynąć mieli. Za godzinę mieli wjechać do miasta; z wieży było już wyraźnie widać pył, który z pod kopyt koni ich orszaku pod niebo się wzbijał. Król węgierski wyprzedzał ich ze swojem rycerstwem. W kościele będzie dla nich odprawiona msza uroczysta i będą Bogu złożone wielkie dzięki, że kroki tych możnych świata koło tak nieznacznego miasta prowadził. Zaszczytne odwiedziny te upamiętnione zostaną złotemi głoskami na tablicy kamiennej w kościele. Tak opowiadał lud i radował się.

Ale radosne okrzyki zmieniły się wkrótce w jęk przerażenia.

Dzicz madziarska na rozszalałych koniach zalała nagle plac i poczęła walić ludzi na ziemię. Król węgierski gotował w ten sposób żywy kobierzec z niewolników swych dla siebie i gości, aby rumaki ich nie tknęły pyłu i błota miejskiego. Pomazańcy Pańscy mieli ze swem rycerstwem po tym moście z grzbietów ludzkich dojechać do portalu kościelnego. Straszliwe ciosy płazami mieczów i długimi biczami, zaopatrzonymi na końcach w kolce żelazne, padały na barki i głowy tych, co nie chcieli z ciał swych tworzyć bruku dla dostojnych osób, robiących Bogu zaszczyt odwiedzin w jego domu. W bolesny płacz kobiet i głośne przekleństwa mężczyzn lały teraz dzwony głębokie swe dźwięki, pełne żalu i majestatu.

Od bramy miasta pędził już orszak na przepysznych koniach. Naprzód straż króla węgierskiego, kapiąca brudem i złotem; turańskie, nawpół zwierzęce twarze tej szlachty były źle umyte, ale brody ich były przeplecione perłami, a z fałdów jedwabnych szat tej nietrafnie ochrzczonej dziczy sypało się robactwo i drogie kamienie. Za nimi jechał król węgierski z wielkiem berłem w ręku, potem gnali na białych jak mleko rumakach rycerze cesarza bizantyńskiego, postacie świetne i piękne, podobne w srebrnych zbrojach swych chórom aniołów, wreszcie ukazał się sam cesarz bizantyński w orszaku dziesięciu królów w purpurze. Miał szatę ze srebrnogłowia, a na skroniach tyarę, połyskującą dyamentami i szmaragdami.

Samko, leżący w prochu na ziemi, widział, jak to wszystko mignęło nad nim, niby piękna, lecz złowieszcza kometa. Widział to wszystko, jak przez sen, bo wkrótce stracił prawie przytomność pod miażdżącymi koni krokami.

Obudził się w miłym chłodzie, w zmroku, pachnącym kadzidłami. Dokoła błyszczały gwiazd miliony! Były to płomyki złotych lamp i niepoliczonych świec woskowych, wysokich, jak filary.

Samko był w kościele. Nie wiedział, jak się tam dostał; ludzka fala rzuciła go tam zapewne tak, jak morską muszlę na brzeg wyrzuca. Leżał między żebrakami i kalekami u wysokich wrót bronzowych. Daleko od siebie, u samego ołtarza, gdzie odprawiała się msza, ujrzał znowu cesarza bizantyńskiego z połyskliwą tyarą na głowie, w kole tych dziesięciu królów ze Wschodu; siedzieli na trybunie, okrytej złotogłowiem. W uroczystych pieśniach śpiewaków, w grzmocie srebrnych organów, gubił się płacz żebraków i kalek, poranionych kopytami końskiemi. Samko czuł także ból w boku i w ramieniu, ale znosił go cicho; przywykł był znosić. Patrzał ku ołtarzowi. Oczy jego z upragnieniem szukały obrazu Chrystusa, tej słodkiej pociechy w każdem cierpieniu. Ale nie znalazł go tam wcale. Przed tą zasłoną stała w prawdziwym lesie świateł jaśniejąca, jak słońce, monstrancya, a pośród jarzących jej promieni złotych i dyamentowych, świeciła, jak miesiąc w pełni, blada, biała, święta hostya, niewymownie podniosła w swej śnieżnej prostocie, pośród tego ludzkiego, wrzawnie a natrętnie wdzierającego się przepychu. Samko utkwił w niej oczy, potem rzucił się na kolana i pochylił czoło. W mrok wielkiego jego smutku przedarł się promyk słodkiego wzruszenia. Podniósł głowę i patrzał znowu na monstrancyę. I ujrzał z osłupieniem, że nagle rość jęła, że zmieniła się w jakiś dom, wystawiony z księżycowych blasków, z kryształowemi wroty, które otworzyły się cicho.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Ś. † P.

Jan Pankiewicz

Najstarszy wiekiem i zasługą z żyjących pedagogów naszych, światły, serdeczny i niezmordowany przewodnik młodzieży, zmarł w Warszawie w dniu 28 Kwietnia 1899 r.

Niechaj spoczywa z Bogiem, syt błogosławionego trudu swego i wdzięcznej pamięci ludzkiej.

Żył lat 83.

Z miasta.

„Gazeta Polska“ podaje, że według ostatniego spisu ludności dokonanego w Warszawie w początkach roku bieżącego, miasto nasze liczy ludności 645,848. W tem ludności stałej 282,528 i niestałej 363,320. Nadmienimy szczegół arcyważny, że to obliczenie całe nie obejmuje załogi wojskowej.

Oczekiwane przez wielu wyniesienie szpitala św. Rocha i sprzedaż placu na wzniesienie budowli z innem przeznaczeniem, wchodzi nareszcie podobno w fazę urzeczywistnienia. Rada miejska postanowiła zastosować się do wniosku komissyi, i ogłasza licytacyę in plus na terytoryum poszpitalne. Jest też kapitalista, który pragnąc je nabyć z wolnej ręki, ofiarowuje za całość summę rubli 180,000

Informacye.

Proszeni jesteśmy o pomieszczenie tych kilku słów:

Delegacya pracy kobiet przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, zorganizowała kursa niedzielne kroju dla szwaczek niezamożnych za opłatą rs. 5 od osoby.

Zbytecznem byłoby przekonywać, że znajomość kroju podnosi kwalifikacye, a tem samem wynagrodzenie pracownic, a zwłaszcza tych, które szyją po domach, a przytem ułatwić to może rekomendacyę przy wysyłaniu na wakacye letnie, na wsi bowiem prawdziwie pożądaną jest tylko szwaczka znająca krój. Zgłaszać się mogą osoby interesowane do delegacyi pracy kobiet przy Muzeum (Krakowskie Przedmieście 66) w każdą Niedzielę między godz. 1 a 3.

Z wiosną.

„Z wiosną nadzieje rosną“ powtarzał sobie z roku na rok nasz rolnik, i rolnikowi w istocie zawdzięczamy ów wierszowany aforyzm. A rosną przyznać należy i w roku bieżącym, tylko nie takie drobiazgi, jak rolę i jej sprawy mają na względzie, o nich też powiedzieć chcemy słów kilka otuchy czytelnikowi naszemu. Oto z wiosną w każdem z pism codziennych znajdujemy wiadomości o nadchodzących do Warszawy dwu- i trzylatkach z najbardziej renomowanych stajen naszych. Czytamy wraz z ich nazwiskami nazwy ich właścicieli, a także komentarze dotyczące szans rozmaitych okazów najznakomitszych.

Wprawdzie to zainteresowanie całe ma swoje pobudki zawsze jedne i oparte na nich nadzieje zawsze te same, ale nie potrzebujemy, wymieniać tego źródła i tych nadziei, bo się ich chyba czytelnicy domyślają sami. Hippika cała jest nam w gruncie rzeczy obojętna, idzie nam o poważniejsze korzyści, a żeśmy się nauczyli myśleć poważnie, że przy każdej sposobności umiemy się umiejętnie troszczyć o dobro publiczne, niechaj posłuży za dowód przejęcie, z jakiem sfery sportowe zajęły się rugowaniem wyrazów obcych z terminologii swego fachu, a tworzeniem nowych, własnych. Składamy więc raz jeszcze dowód myśli obywatelskiej tem zainteresowaniem się sprawą czystości i bogactwa języka, którą się dotąd Akademia Umiejętności zaniedbała zająć. Coś o tych pracach i pomysłach powtórzymy czytelnikom z pism codziennych. Otóż my, którzy w towarzystwach mówimy przeważnie o sporcie i jego dziełach, którzy oddajemy się sportom różnym i oddychamy sportową atmosferą, my szczerzy i entuzyastyczni pracownicy na tem polu działalności społecznej, nie mieliśmy dotąd możności oddawania naszych myśli w mowie własnej. Nie będzie tego w przyszłości. Sport będzie się teraz nazywać u nas *ochota*, wyrazy pochodnie: sportsman, sportsmański, zastąpione zostaną przez *ochotnik, ochotniczy* lub *ochoczy*. Zamiast trenning mamy mówić *zaprawa* lub *wprawnia*, trener będzie *zaprawiaczem*, nie będziemy się trenować tylko *wprawiać* i t. d., i t. d. Jednem słowem co mogła zrobić w tym względzie umiejętność i dbałość o dobro języka, to jest zrobione. Wprawiajmy się tedy i zaprawiajmy, bądźmy nadewszystko ochoczy, bo ten termin, wyznajemy, przypadł nam szczególnie do serca jako odpowiedni.

Obrady.

W dniu 28 Kwietnia odbyło się w sali Muzeum zgromadzenie członków kasy literackiej. Prezes instytucyi Henryk Sienkiewicz zagaił posiedzenie powołaniem zgromadzenia do wyboru przewodniczącego obradom. Większością głosów powołany został dr. J. Karłowicz, który zaprosiwszy na asesorów ks. ks. Gralewskiego i Chełmickiego oraz pp. Lubowskiego i Rabskiego, a na sekretarza posiedzenia p. Adolfa Święcickiego, udzielił głos redaktorowi Libickiemu. Ten ostatni streściwszy dzieje zaczątku tej instytucyi aż do chwili obecnej, odczytał listę członków założycieli. Następnie skarbnik kasy p. A. Donimirski zdał sprawę z dotychczasowego obrotu funduszów. Szczegóły te pomijamy.

Z uchwał zapadłych wymieniamy jako najważniejsze: a) Maximum pożyczki oznaczono na 300 rs.—stopa procentowa 6%. Oprócz tego od spóźnionej raty kara pieniężna liczyć się będzie w stosunku ½% na miesiąc—b) Jednomyślnością przyjęto wniosek p. Filipowicza, dotyczący przychodzenia w pomoc rodzinie zmarłego uczestnika kasy, po sprawdzeniu potrzeby jej, a to do wysokości 150—200 rs. tytułem kosztów pogrzebowych, bez odwoływania się do komitetu, wprost z decyzyi skarbnika kasy. Po wyrażeniu przez prezydującego wniosku, aby ofiarodawcom dotychczasowym instytucyi, mianowicie pp. Adamowi Pługowi, Ignacemu Paderewskiemu i Julianowi Wieniawskiemu, złożyć podziękowanie, obrady zostały zamknięte.

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA.“

Antoni Pilecki: Przyroda w poezyi.

S. Rutkowski: Rozkład zajęć ogrodniczych.

Historya prawdziwa o Grzesiu z Sanoka, z powieści J. I. Kraszewskiego skróciła M. G.

Syn męczennika, wyjątek z Fabioli kardynała Wiesemana.

K. Seignobos: Dzieje polityczne Europy współczesnej.

Profesor Howitz: Dlaczego chorują nasze kobiety?

Piotr Chmielowski: Metodyka historyi literatury polskiej.

Jul. Urs. Niemcewicz: Antologia śpiewów historycznych.

Robert de la Sizeranne: Ruskin i kult piękna.

Tom XXIX „Gazety Polskiej:“ Wybór pism Konopnickiej.

Wskazówki i rady.

Pierożki ze szpinakiem.

Wyborną potrawą podczas pory świeżego szpinaku, który co prawda powinien być prawie cały rok, gdzie ogrodnik starszy myśli o tem, żeby był zawsze świeży do użytku kuchennego. Zagnieść zwyczajne ciasto białkiem i wodą, jak na zwyczajne pierogi z mięsem. Mieć przygotowany szpinak, jak się zwyczajnie na jarzynę robi, bardzo starannie w donicy roztarty, lub jeżeli starszy fasowany przez sito. Na cienko rozwałkowane ciasto nakładać kupki szpinaku, jakby mięsa, zawijać tak samo i wykrawać kieliszkiem, aby były niewielkie. Gotować na bardzo obfitej wodzie solonej, a po wyjęciu łyżką durszlakową na półmisek, polać gorącem, ale nie rumianem masłem młodem i posypać cało tartym parmazanem, podając jeszcze oddzielnie parmezan na talerzu. Wyborne.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Ewa Jurje. Przyborów takich dostanie Pani w każdym sklepie norymbergskim np. u Alojzego Ludwiga na Senatorskiej ulicy Nr. 8.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Pończochy i skarpetki
czarne i kolorowe.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 55,

otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Płócienka, Satynki, Batysty, Zefiry, Kretony, Dryliszki na ubrania męskie, dziecinne i liberyjne.

Firanki.—Dywany.—Portyery.—Materyały meblowe.

Gotowa bielizna męska i damska.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Próby i cenniki odwrotną pocztą, franco. 41

Pończochy i skarpetki
czarne i kolorowe.

Fabryka Parasoli i Tokarstwa
H. KIEFFER i S-ka 53
w Warszawie, Bielańska Nr. 4. drugi dom od Senatorskiej
Poleca wybór parasolek i parasoli. Wykonywa obstalunki, pokrycia i reperacye.

Portrety olejne
Ludzi Znakomitych:

Królowej Jadwigi, Sobieskiego, Stefana Czarnieckiego, Ks. Skargi, J. I Kraszewskiego

Każdy rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 50. Pięć portretów razem rs. 3, z przesyłką rs 3 k. 50.

Cykl obrazów kolorowanych, pod ogólnym tytułem

Błogosławieństwo temu domowi:

Ojcze nasz. Zdrowaś Marya. Wierzę w Boga.

Każdy po rs. **1** kop. **50.**

Obraz kolorowany *Fr. Kostrzewskiego* **Rozkosze dziadunia** rs. 1.

Nabywać można w Administracyi Biesiady Literackiej.
Warszawa, Chmielna 26
oraz we wszystkich księgarniach.

MARIE-CATHERINE
57

Marszałkowska Nr. 73.

Suknie spacerowe i wizytowe.
Kostiumy angielskie.
Żakiety, Peleryny, Figara
i Bluzki.

Wykończa podług modeli Paryskich.

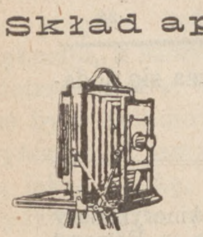
Senatorska 37, pałac ordynata hr. Zamoyskiego.
NOWO-OTWORZONY
Skład Kapeluszy Słomkowych

z Fabryk „P ary" hr. Łubieńskiego i Szwedego, przyjmuje hurtowe obstalunki na kapelusze słomkowe t. zw. szwajcarskie i z plecionek w różnych fasonach. Tamże wyłączna sprzedaż mebli ogrodowych z Fabryki Schlossbergskiej. 23

Senatorska 37, pałac ordynata hr. Zamoyskiego.

Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*
p. fir. K. Kruszyński i L. Miciński
poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny nizkie.
Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-22

Skład aparatów i potrzeb do fotografii
P. LEBIEDZIŃSKIEGO



Warszawa. Krak.-Przedmieście № 65, I-sze piętro.

POLECA: Aparaty fotograficzne ręczne najnowszej konstrukcyi od rs. 6 do **200.** Aparaty fotograficzne podróżne. Klisze, papiery fotograficzne. chemikalja i wszelkie potrzeby do fotografii. **Towar tylko wyborowy. Wielki wybór nowości.** Cennik illustrowany gratis i franco. Pozostałe z zeszłorocznego sezonu: Aparaty fotograficzne nowe i używane—wyprzedają się z ustępstwem 30—50%. 50

SKŁAD MEBLI
Majstrów Stolarskich
A. KLIPPEL i S-ka
ulica Erywańska № 9. 987—25—16

!! Dla tego tanio, bo na 1-em piętrze !!

Dywany, materyały meblowe, firanki, serwety, kapy, kołdry, chodniki, ceraty i t. p.

w składzie **H. Radeckiego**

Marszałkowska ***Nr. 112.*** 1-sze piętro pomiędzy Chmielną i Złotą.
Sprzedaż za gotówkę i na raty. 65

BIURO NAUCZYCIELSKIE!
BRONISŁAWY GOLCZEWSKIEJ
Nowotworzone pierwszorzędne kaucyonowane. *Rekomenduje* nauczycieli, nauczycielki bony różnych narodowości. **44 S.-Krzyżka 44.** 963—25—17

„SŁOWO"

DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, LITERACKI, EKONOMICZNY
I HANDLOWY

wychodzi codziennie prócz świąt w Warszawie
pod redakcyą
Mścisława Godlewskiego
przy udziale pierwszorzędnych pisarzy polskich

„SŁOWO" powiększyło swój format w r. b. o 1/3 dotychchczasowej wielkości, bez zmiany warunków prenumeraty.

Oprócz zwykłych rubryk codziennych i artykułów wstępnych oraz korespondencyi z całego świata, **„SŁOWO"** zamieszcza codziennie dwa **feljetony**: naukowo literacki i powieściowy.

W 1899 r. w feljetonie powieściowym „SŁOWO" drukować będzie przedewszystkiem dokończenie wielkiej powieści jubileuszowej.

Henryka Sienkiewicza
p. t.
„KRZYŻACY."

Nowoprzybywający od Nowego Roku prenumeratorowie „SŁOWA" mogą otrzymać początek **„Krzyżaków"** (sześć części) za dopłatą **1** rs.)

Nastepnie w tece feljetonowej „SŁOWA" znajdują się: ***Elizy Orzeszkowej*** nowela **„PORCELANKA."** powieść ***Wincentego Kosiakiewicza*** p. t. **„HALLALI!"**, powieść ***Artura Gruszeckiego*** p. t. **„NAWROCONY."** powieść ***Maryana Gawalewicza*** **„KLIN"** i inne.

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: Rocznie rs. **9**, półrocznie rs. **4** kop. **50**, kwartalnie rs. **2** kop. **25**, miesięcznie **75** kop. Za odnoszenie do domu dopłaca się **5** kop. na miesiąc.
z przesyłką pocztową: Rocznie rs. **12**, półrocznie rs. **6**. kwartalnie rs. **3**.
Za granicą: Rocznie rs. **14** kop. **50—40** frank.—**19** guld.—**32** marki.
Półrocznie **8** rs.—**22** fran.—**10** guld.—**17** marek.
Kwartalnie **4** rs.—**12** fr.—**5** guld.—**9** marek.
Miesięcznie **1** rs. 50 kop.—**4** fr.—**2** guld.=**3** marki. 6

Adres Redakcyi i Administracyi „SŁOWA"
Warecka 15 w Warszawie.

APTEKA K. WENDY

45. Krakowskie Przedmieście 45.
w Warszawie.
45

Wszelkie nowe środki lekarskie
Wina lecznicze,
Wody mineralne.

Дозволено Цензурою Варшава, 20 Апрѣля 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Niespodziana pomoc marzyciela zabłąkanego przypadkiem w te miejsca, wydarła ją śmierci. Wróciło życie, ale tyle też jej wróciło; rozum na mogile matki niepowrotnie pozostał.

Kazimierz zaczynał przeglądać smutną prawdę — obłąkaną miał przed oczyma.

Uprosił starą Agnieszkę, aby odeszła do alkierza na spoczynek, sam jeszcze bliżej łoża cierpiącej się przysunął, wsparł łokciem na tapczanie, postanowił czatować na pierwszy promyk jej pamięci, chcąc ślad chociaż jakiegoś wątku z niepewności wywikłać.

Leśnik ani chciał słyszeć o spoczynku; siadł przed kominem, ujął łysą głowę między ręce, oparł się na kolanach i tak pochylony ważył w myśli przyczyny niespodzianego zdarzenia, ścigał w przeszłości pasmo własnych podobnych wspomnień, czasami tylko dawał znaki życia, zapalając świeże łuczywo.

Poraj wspomniał o zbawiennym wpływie magnetyzmu na nerwowe, delikatne zwłaszcza istoty; zebrał w sobie dwa niezbędne warunki działania, wolę i spółczucie, złożył łagodne dłonie na tętnach drobnych rączek dziewczyny, uczepił pól głosem kilka łatwych, wstępnych zapytań.

Nastusia opuściła głowę ku piersiom, wzrok jej powoli łagodniał, oddech stawał się swobodniejszym, ustały gorączkowe szamotania krwi, z czoła znikło kilka głębszych zmarszczków, piętn niesłychanej boleści; wkrótce podniosła twarz i ukołysany wrzekomo błękit oczu, nieruchomo utkwiła w przenikającym ją wzroku nieznajomego przyjaciela.

— Cierpisz — strasznie cierpisz moje dziecię — rzekł Kazimierz — jesteś u dobrych, życzliwych ci ludzi; powiedz — czy potrzebujesz czego?... co ci dolega?...

Nastusia lekko skłoniła na bok głowę, jak człowiek, który łowi uchem zdaleka dochodzące a dziwnie lube mu dźwięki.

Głos ucichł, smutek rozpędzony na chwilę znów zaległ jej oblicze; westchnęła głęboko, jak gdyby chciała żegnać jakieś złudzenie, jakąś nadzieję.

Kazimierz ponowił zapytanie. Tym razem w słodyczy głosu wyraźnie przebiła się nieubłagana wola, rozkaz odpowiedzi.

Nastusia wskazała na pierś i na głowę.

— Rozumiem, biedne dziecię, spotkało cię zapewne okropne jakie nieszczęście?

Dziewczyna ścisnęła go za rękę, i chyląc ku niemu błędne, przerażające oczy, mówiła wolnym, cichym, jednostajnym głosem:

— Kruki spotkały mnie na drodze, a na cmentarzu ognik za mną uganiał. Słońca pod ziemią nie widać! W mróz, w słotę, w nocy burzliwe, leżeć w samotnej trumnie, pod krzyżem... straszno!... nikt nie użałuje.

— Zapóźno! — mówi kościelna baba — oddaj łachman — ja ubierałam nieboszczkę! —

— Nie przyszłaś!... — jęczała z pod ziemi — bez ciebie oczy piaskiem mi zasypali. Już mnie nie zobaczysz; między mną a tobą łokieć gliny nakrytej murawą. I pójść do ciebie — nie pójdę. Pilnuje mnie dwudziestu czarnych strażników, dwadzieścia żelaznych ćwieków, a każdy główką tkwi w sosnowem wieku, końcem w mojem sercu. — Ty mnie porzuciłaś i ja ciebie porzucam. Mnie nikt na starość łez nie otarł i ty sama wypłaczesz oczy. — Pochowali!... ksiądz nawet nie przyszedł; grosza nie było w chałupie.

Nastusia załkała, wyciągnęła ramiona, jakby ze zgrozą odpychając straszliwy jakiś widok. Kazimierz położył rękę na głowie dziewczyny, odgarnął jej ze skroni rozpuszczone włosy, zniewolił do wypicia kilku kropel wody.

Niestrojne jej słowa pozwoliły mu przecie odgadnąć, że pamięć świeżo doznanej straty, że śmierć matki była jedną z przyczyn rozprzężenia umysłowego nieszczęsnej istoty.

— Sama jedna byłaś u matki — kochała cię nieboga?...

— Dziś, pierwszy dzień sama jednam na ziemi. Ale wczoraj w nocy wiatr dął silny, pogasił wszystkie gwiazdy i miesiąc zagasił. Odtąd, noc do skończenia świata.

Na polu wietrzno, ponuro...

Biedna Krystyna sama ku Bogu popłynie; ani za życia, ani po śmierci nie być jej razem ze swojem dziecięciem!...

— Nie byłaś więc przy matce?.. Któż was rozłączył?...

— Siwa orlica sama pławi się w chmurze i słońcu, w lice nie zajrzy od czasu, jak jej wydarto orlęta. I krzyż na rozdrożu niby samotny, ale u stóp jego, na pagórku bawią się wiejskie dzieci, wiążą równianki... Szczęśliwa dziatwa... na każde w domu czeka uścisk matczyny. Jedna tylko kobieta płacze napróżno — darmo ku drodze wygląda; dzieci z powrotem wszystkie ją pominą, żadne ku niej się nie przytuli. Jeszcze wyśmieją starę smętnicę!

Może Bóg dopuścił, że nie z samego żalu umarła; nędza ją dobiła. Wprzódy, wszystkiego było pod dostatkiem — naraz zaniechała wygody, musiała pracować na kawałek chleba.

Ręce na starość, do odpoczynku, a nie do pracy. Pomódz nie było komu. Miała jedyną córkę, wyhodowała ją na utrapienie. Zmarniała matka i córce nie lepiej się nadarzyło.

— Przypomnij sobie moje dziecię—jakiem imieniem się nazywała?

Pałac — biały, wysoki!... Wewnątrz kobierce, szkła przejrzyste, stubarwne dywany.

Na progu stoi Krystynka, piastunka panicza, dłonią od słońca oczy przysłania, wzrokiem biega po ogrodzie, woła: „dzieweczko — Nastusiu — Natalko!... gdzie ty?... wracaj — pani Starościna się niecierpliwi!“

Zbieram drobnemi nóżkami, biegnę co żywo.

Drugi ogród — później — później; w grzędach nie w klombach — druga siedziała — nie pałac — dom wielki drewniany.

Stara gospodyni Krystyna, wysyła folwarczną dziewczynę po córkę.

— Pani matka czeka — już blisko północy — czas na spoczynek.

— Ach na spoczynek zawsze czas! — cóż z tego, kiedy wypocząć nigdzie nie można.

Choć ciało we śnie, głowa na jawie; marzy w życiu, żyje w marzeniu.

Stara żebraczka ucieka do dawnej strzechy, wychudłą ręką kiwa na swoją dziewczynkę, często płacze — czasami przeklina — przeklina!... Ty panie — czego ci oczy tak świecą? — powiedz, czy przeklinała — czy słyszałeś kiedy o matce sierocie?... Porzuciło ją jedyne dziecię — jak nie miało porzucić!...

Po dworach panienki mają po kilka serc; u chłopek jedno.

Zaczekaj matulu!... gdzie biegniesz?... goni za tobą dziewczyna; to ja, twoja córeczka — Nastusia. Nie uciekaj — dogonię!... Ach ze wstydu, z nędzy, z rozpaczy kryjesz się przedemną, głęboko się kryjesz, zapadasz!... gdzie?... aż pod ziemię. Umarła!...

— Porzuć te smutne myśli lube dziecię; odpoczniesz przy nas, smutek ukoisz, i może da Bóg trochę zapomnisz. Łatwiej między nami znajdziesz spokój, aniżeli dotąd szczęście znalazłaś na ziemi.

— Szczęście — odrzekła z westchnieniem Nastusia, chwiejąc głową ku piersiom. — Po co Krystynie szukać mogiły?... Kto raz śmierć znalazł, ten drugi raz za nią już nie pogoni.

Widziałeś słońce?... drugiego nie czekaj. Nastusi nie żal umierać, ale i życia nie żal, bo po zachodzie słońca puszczykom jeno żyć lubo.

Dziś, serce strasznie boleje. Jak nie ma boleć?... żelazna rękawica bez ustanku krew z niego wyciska. Biło i dawniej, ale biło inaczej. Tuliłam je nieraz obiema rękami, by nie uleciał rozpieszczony, śnieżny gołąbek.

Jakie gruchania — jakie piosenki!...

Pojechał!... wróci — jutro — dziś wieczorem musi powrócić; tu w piersiach balsamem wieje nowina, choć oko jeszcze nie dojrzy.

Nie ma księżyca — hej — zawołajcie na miesiąc, przyzwijcie gwiazdy; po obu stronach domu, niech w krzach bzu i jaśminu rozpieją się dwa chóry słowików, niech kwiaty odżyją, niech rzeka odzieje co najsrebrniejsze atłasy!...

Wrócił!... z nieba słychać muzykę. Nie — to jego głos; ha — serce wyskoczy.... słychać znajome stąpanie. Luby!.. nie zapomniałeś twojej Nastusi.

Zgrzytło po szkle żelazo — słyszysz, jak dusza piszczy w łuczywie?..! Gdzie Anioł?... nie Anioł! — z bożego dopuszczenia piekielne straszydło, upiór spragniony niedoli i łez sieroty.

Na Matkę Boską Gromniczną, wilk głodny w lesie przeraźliwie wyje; człowiek, ostrzeżony, zdaleka go mija, ucieka do wsi przed wilkiem.

I cień bury kolce najeża, straszy zawczasu grozi bolescią.

U niego uśmiech był na ustach, słodycz w rozmowie, on jednym wyrazem umiał zmarłych wracać do życia.

Czarownik!... niebo otwierał. Niebo bez granic mieściło się całe w jednem człowieczem sercu.

— Nie przypominasz nazwiska — młody czy stary — gdzie mieszkał — jak wyglądał nie pamiętasz?

Straszno i duszno — ani światła, ani oddechu — jak w podziemiach naszego starego kościoła. Duszę tam biorą na męki, głowę ściskają w żelazne obręcze; przez resztę życia potem oka nie zmrużysz.

Nastusia drżała w gorączce przestrachu, toczyła obłąkanym wzrokiem, konwulsyjnie ściskała ramię Poraja, tuliła się do niego, jak gdyby szukając opieki przed wyzwierzonem na nią okropnem widziadłem.

— Dobry mój panie — mówiła targanym głosem — co patrzysz na mnie oczyma Anioła Stróża, niech Bóg cię od nieszczęścia uchowa, niechaj oddala od ciebie zatratę. Nie wychodź z lasu; na świecie mordują niewinnych. Chyba, że zechcesz do matki wybiegnąć, ale wtedy przemykaj się uboczami, nie wchodź do wioski, strzeż się czerwonego pałacu, gdzie piołun rośnie do koła; uciekaj — za siebie się nie oglądaj, gdy strwożeni ludzie półgłosem ci rzekną, że w pałacu tym siedzi... pan graf Wiczek!....

— Wilczek!... powiadasz dziewczyno?..

— Nieboszczka Starościna mawiała mu: Władziu — i Nastusi niegdyś wolno go było tak nazywać.

Umarła Nastusia, i odtąd ciągle umiera; piekło ma wieczne!...

Kazimierz zadrżał, twarz ręką zasłonił.

Nastusia wycieńczona, z zamkniętemi oczyma, jak bez duszy leżała na pościeli. Długie natężenie skołatanego umysłu rozwiązywało się w półsenną bezwładność; pierś pracowała urywanym oddechem, ból zaciął jej usta, w złamanych zmarszczkach wybiegł na skronie i czoło.

Stary leśnik zbudzony nagłem ucięciem rozmowy podniósł drzemiącą głowę, patrzy obłędnym wzrokiem, jak gdyby na jawie ciągnął dalej senne jakieś marzenie.

Poraj stał z założonemi rękami, spoglądał na pół martwą dziewczynę Teraz wszystko zgadywał.

— Wilczek, zawsze i wszędzie Wilczek!...— powtarzał do głębin duszy wstrząśnięty wzmianką nienawistnego mu nazwiska, niespodzianie wyiskrzonego na dnie tajemnicy.

Dziwne zrządzenie!...

Jakiż los, jakaż tajemna konieczność rzucała mu na drogę życia tę postać złowrogą, wcielenie wszystkich żywiołów krajowej i społecznej zatraty?...

Kazimierz ostrożnie dotknął się ręki Nastusi; tętno biło łagodniej, krew ciepło zaczynała krążyć w żyłach przed chwilą lodem ściętych.

Życie na pół ubiegłe wracało na głos serdecznego spółczucia — czyli rade wracało do nadwerężonej powłoki, czy nie byłoby wolało przerzucić się w tęskny kwiatek konwalii, w rozśpiewaną żałośnie samotną turkawkę, w gwiazdkę wędrownicę po cichych stepach nocnego błękitu?...

Boże zmiluj się!... we wszystko wróciłoby radziej niż w ciało biednej sieroty.

Poraj przekonany o ustąpieniu niebezpieczeństwa; odsunął się na palcach, targnął w milczeniu starego leśnika za ramię, i obaj, jak cienie wymknęli się z chaty.

— Dziewczyna zostanie u was — mówił półgłosem, odwodząc starca od progu. Nieszczęście obłąkało jej rozum, nieszczęście, którego przyczyny mi wiadome. Ojcze Macieju, znam dobre serce Agnieszki i twoje ku mnie przywiązanie, odwołuję się dziś do was obojga. Czego po was żądam, dowiesz się w dwóch słowach: dziewczę to jest dla mnie równie drogiem, jak gdyby było rodzoną moją siostrą; niech dla was będzie córką. Nie pytaj, nie staraj się nigdy odgadnąć zkąd i dla czego?... Żonie przykaż milczenie, przed ludźmi zachowaj niewzruszoną tajemnicę. Starań, opieki nie szczędźcie. Pamiętaj, że wszystko, co uczynicie dla sieroty, wyświadczycie mnie samemu.

Leśnik za całą odpowiedź wyciągnął dwa palce i starym zwyczajem, podniósł je ku czołu na znak, że polecenie z żołnierskim rygorem wypełnionem będzie co do joty.

Kazimierz ścisnął mu rękę, i w jednej chwili przepadł w gęstych zaroślach.

Wróciwszy do chaty, Maciej raz i drugi powtórzył w myśli słowa Poraja; potrząsł głową, ale brnąć dalej w przypuszczenia się nie odważał; rozkaz wyraźnie zaprzeczał mu badania wątku zagadki. Przypomniał sobie atoli polecenie czuwania nad dziewczyną, usadowił się na miejscu tylko co opuszczonem przez Kazimierza, i do białego dnia czyli do obluzowania go z warty przez Agnieszkę, wzroku z chorej nie spuszczał.

Maciej nie miał istotnych zatrudnień; potrzebował czegoś doglądać, czegoś strzedz, pilnować. Zjawienie się obłąkanej wieśniaczki wypełniało mu życie.

Stara Agnieszka wysłuchawszy mężowych i wydanych przez Pana rozkazów, zakrzątnęła się wedle stosownego dla chorej posiłku; do pół wsunięta w komin, pochylona nad garnuszkami, kiedy niekiedy oczy ku łóżku zwracała ukradkiem, rozglądała delikatne kształty, przejrzystą płeć dziewczyny, tłumiła westchnienia, dumając nad dolą wieśniaczki na pozór, w istocie jednak, dziecka urodzonego w pańskich pieluchach; ślepy mógł jeno nie dojrzeć prawdy.

Gospodyni pierwszy raz zacierpiała na skromność zasobów chaty; łamała sobie myśl nad wynalazkiem wykwintnego pokarmu; jużcić razowym chlebem, oczywiście szlacheckiego dziecka, trudno było ugościć.

Na szczęście, zapasy leśnikowej śpiżarni o wiele przewyższały wymogi Nastusi.

Chora o wschodzie słońca otwarła oczy, zatoczyła je bezprzytomnie, utkwiła w tęczową pręgę pyłku wyzłoconego wnikłym przez szczelinę promieniem; leżała nieruchomie, oddechem tylko dając znak życia.

Agnieszka podała jej kaszę warzoną w mleku; dziewczę w milczeniu odwróciło głowę ku ścianie, napój natomiast pochwyciła chciwemi rękami, z widoczną rozkoszą wychyliła do dna kubek kwasem zaprawnej wody; gorączka paliła jej piersi.

Leśnik i żona jego, rozmawiali z sobą gestami, stąpali na palcach, jak zwykle czyni się przy chorym.

. . . .

Stary Grzegorz sam jeden wtajemniczony w pobyt dziewczyny u leśnika, nadjechał wkrótce z żądanymi przybory. Maciej całą siłą mu dopomagał; Agnieszka z radosną ciekawością oglądała każdy szczegół.

Niebawem chata zaobfitowała we wszystko, o czem tylko można było zamarzyć dla ostatnich wygód życia. Inne odmiany wymagające dłuższego czasu, te zwłaszcza, które dotyczyły rozprzestrzenienia i wewnętrznych ustrojów siedziby, Grzegorz z pomocą dwóch znajomych mu z dalekiego miasta robotników, przed pierwszemi jeszcze przymrozki, zupełnie uskutecznił.

Chata leśnika na pozór wyglądała zawsze jednako, wewnątrz atoli nie ustępowała zamożnym dzierżawnym dworkom. Nastusia nastręczyła Porajowi sposobność przełamania uporu starego żołnierza, który niby pokutnik niewiadomo za czyje grzechy, wzbraniał się do ostatniego w czemkolwiek uwygodnić schyłku w trudach zużytego życia.

Przepowiednie Agnieszki ziściły się co do słowa.

Dzięki lekarskim jej znajomościom a może innym tajemniczym środkom, powszechnie bowiem było wiadomem, że leśnikowa umiała zamawiać niemoce, Nastusia w przeciągu kilkunastu dni zupełnie wróciła do sił. Z walki z cierpieniem zostały jej tylko bladość oblicza, zostały zapadłe, posępnie świecące oczy, dwie lampy grobowe zatlone na mogile zniklego szczęścia—dwa ogniska, gdzie dymnie dopalały się reszty pamięci i rozumu.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

———

NOWOŚCI NADESZŁY

w wielkim wyborze

do MAGAZYNU BŁAWATNEGO

STEFANA ZŁOTNICKIEGO

64. Krakowskie-Przedmieście 64.

(Gmach Resursy Obywatelskiej).

WEŁNY czarne i kolorowe gładkie i fantazyjne ostatniej mody krajowe i zagraniczne. — ***ALPAGI*** krajowe i angielskie.— ***GRENADINY*** czarne i kolorowe. — ***SUKIENKA*** kolorowe na kostyumy, żakiety i peleryny od kop. ***65*** do ***2.25.*** — ***KANAUSY, Jedwabie*** czarne. — ***Fularki*** kolorowe od kop. ***25.*** — ***Wykwintne Muśliny, Satynki, Batysty, Batyściki, Kretony, Zephyry.***

Niebywały wybór **wełn** czarnych.

☞ Towary nabywam gwarantowane, bezpośrednio tylko z pierwszorzędnych fabryk. ☜

GUST WYKWINTNY. 46

Wobec taniego komornego i niekosztownej administracyi sprzedaję najtaniej.

Okulary, Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2. **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop. 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-37

Michał Pik, optyk mech. m. Warsz.
Warszawa, ulica Miodowa nr. 14

K. M. Schröder

Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco**
944—53—38

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS
nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.**
Pudełko kop. 15 30 i 50.
Główny Skład Solna № 9.
987—20—18

MAGAZYN MEBLI
ANTONIEGO STRÓMIŁO

Bracka Nr. 25.

Poleca: Kredensy, Szafy, Stoły, Łóżka, Umywalnie, Bieliźniarki, całkowite urządzenia pokoi Sypialnych i Stołowych, oraz wielki wybór Mebli wyściełanych.

CENY NIZKIE. 1026-52-22

Nakładem spółki wydawnictw illustrowanych wyszło:

Album Artura Grottgera

„WOJNA"

(w dolinie łez) 15

11 rycin z portretem Grottgera oraz tekstem T. Szablowskiego. **Cena kop. 80.** w ozdobnej teczce, ryciny w kartonach **rs. 1 k. 50.** Wydanie duże, wykwintne w formacie 42×32 ctm., ryciny na kartonach w ozdobnej tece ze złoceniami **rs. 4 kop. 50.**
Skład główny w księgarni Jana Fiszera Nowy Świat 7.

Sposób użycia załączam przy flakonach i wysyłam



na żądanie gratis i franco.

CAPILLIFER

ŚRODEK

wzmacniający cebulki włosów niszczący łupież, wskutek czego rosną gęste i mocne włosy, co stwierdzono długoletnią praktyką. Ceny flakonów stałe: rs. **1** kop. **20, 2, 3, 4** i **6** rubli. **Mydła specyalne do włosów po 20, 30 i 40 kop. sz.** Pozwolenie Urzędu Lekarskiego za Nr. 1036. Aby uniknąć naśladownictwa, wyłączna sprzedaż u wynalazcy

T. L. GRABOWSKIEGO
Aleja Jerozolimska Nr. 70.
Obstalunki od rs. 2 załatwiam za zaliczeniem.
61

Pracownia Sukien i Okryć Damskich
b. krojczyni firmy ***B. Herse.***

JADWIGI ESMAN, 64

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE, HOTEL SASKI 116, 1-e piętro.

Pracując przez lat kilka w pierwszorzędnych magazynach **w Paryżu** jak: **Rouff, Felix i Doucet**, następnie zarządzając czas dłuższy pracownią W-go Hersego, obecnie przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres konfekcyi damskiej wchodzące, z własnych lub powierzonych materyałów. Obstalunki na prowincyę wykonywa się podług przysłanej miary.

Proszę zwracać uwagę na markę ochronną.

PAROWA FABRYKA

Kawy Palonej



pod firmą
IMPORT KAWY
L. B. Jankiewicz,
Warszawa, Leszno 68. Telefon.

POLECA

KAWY PALONE,

!! Codziennie świeże !!

a szczególnie:

Gospodarską	№ **2**	za funt	rb.	0.65
„	№ **1**	„ „	rb.	0.75
Mięszanki:				
Karlsbadzką		„ „	rb.	0.85
Wiesbadeńską		„ „	rb.	1.00
wiedeńską		„ „	rb.	1.10
Wyłącznie na czarne kawy:				
Deserową	№ **2** . . .	za funt	rb.	1.15
„	№ **1** . . .	„ „	rb.	1.20

W oryginalnych opakowaniach po 1/1 — 1/2 — 1/4 — 1/8 funta opatrzonych banderolą i znakiem ochronnym.

Sprzedaż detaliczna we wszystkich handlach kolonialnych w Warszawie i na prowincyi, oraz Składach Win zagranicznych **Caves du Grand Hôtel de l'Europe** ulica **Czysta; Grand Caves de Bordeaux, Mazowiecka 20 i J. A. Stegmann, Marszałkowska róg Chmielnej.** 54

Zakład Stolarski
D. SIARKIEWICZA

w Warszawie,
Grzybowska Nr. 62.

Przyjmuje wszelkie roboty stolarskie, meblowe budowlane, urządzenia sklepowe i t. d. Wyrób starany. **Ceny nizkie.** 19

Broszki, Bransolety, Kolczyki Pierścionki, Spinki, Szpilki
i t. p. poleca 27

Pracownia Jubilerska

J. LIPOWSKI i S-ka

Krak.-Przedm. 71 m. 9, I-sze piętro.
Wyroby własne gustowne. Ceny fabryczne

☞ **Nowa Pracownia!**

Po długoletniej praktyce za granicą i w kraju, otworzyłem pracownię okryć i kostyumów damskich (genré tailleur). Specyalność kostyumy sportowe. Niniejszem mam zaszczyt polecić się JW. i W. Paniom.

Z uszanowaniem
Jan Bydliński
53 krawiec damski i męzki.
Nowogrodzka 17.

WSZYSTKIM dbającym o swoje zdrowie kobietom (a niema chyba takiej, któraby nie dbała!)

polecamy dziełko p. t. 56

Z ŻYCIA KOBIETY

Hygiena okresu dojrzałości kobiecej w stanie normalnym i chorobowym. Z 2-ma rysunkami. Przez d-ra ***L. Fürsta.*** Przekład ***H. T.*** Cena **kop. 40,** z przesyłką **kop. 50.**

Nakład Księgarni A. G. Dubowskiego w Warszawie, Chmielna № 30.

[Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Warszawskie Towarzystwo Akcyjne Handlu Towarami Aptecznemi

dawniej

Zjednoczeni Aptekarze i Ludwik Spiess i Syn

Zarząd i Składy Główne ul. Senatorska № 24.

Filje: w Warszawie: Plac Teatralny, ul. Marszałkowska 140; w Łodzi: ul. Piotrkowska 11.

polecają:

Świeżą oliwę nicejską.
Galatyny.
Farby olejne.
Octy francuskie i inne.
Farbki do bielizny.
Lakiery spirytusowe
Perfumy.
Proszek na owady.
Lakiery kopalowe.
Mydła.

60

Zmiana Adresu!! Mazowiecka № 5. 935-25-22 **ST. PRZEZDZIECKI,** Przeniósł Magazyn Ubiorów dziecięcych, oraz Ubrań dla Uczniów *na Mazowiecką Nr. 5.* Zmiana Adresu!! Mazowiecka № 5.

Znacznie powiększona

BIESIADA

LITERACKA ILLUSTROWANA.

DLA RODZIN POLSKICH.

Redaktor Władysław Maleszewski.

W Warszawie rocznie: **5 rs.** a z dodatkiem rb. 6.50.

Z przesyłką rocznie **6 rs.** a z dodatkiem rb. 8

Powieści, podróże, sztuki piękne, wiadomości z literatury, biografii, pedagogii, chwili bieżącej, polityki, z naszych miast, wsi, z zagranicy. Rebusy, szarady i t. p. rozrywki. Liczne illustracye wypadków w kraju i zagranicą. Kopie obrazów, rzeźb, krajobrazy, pomniki, portrety, zabytki przeszłości. Spółpracownictwo znanych literatów i artystów. **Premia bezpłatne do wyboru:** Książki, obrazy kolorowane, między niemi Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę w Boga, Rozkosze dziadunia, W polskim lesie, portrety Sobieskiego, Czarnieckiego, Jadwigi, X. Skargi, J. I. Kraszewskiego, Mickiewicza.

DODATEK DO BIESIADY OBEJMUJE:

WYBÓR PODRÓŻY I POWIEŚCI Z RÓŻNYCH EPOK I KRAJÓW.

Czytelnik rozszerza lub odnawia swą wiedzę, przez przypomnienie faktów dziejowych.

Upraszamy dotychczasowych prenumeratorów Biesiady o wiadomość: od którego roku trwa ich prenumerata i o aforyzm własny. W „HERBARZU JUBILEUSZOWYM" pomieścimy aforyzmy najlepsze i nazwiska czytelników, którzy są sprzymierzeńcami i przyjaciołmi Biesiady.

Prenumeratę nadsyłać można rocznie, półrocznie, kwartalnie. ☛ Prospekt i numer okazowy wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Adres: Biesiada Literacka, Warszawa, Chmielna 26.

Łyżki, widelce, noże, **oraz przedmioty platerowane zniszczone i wytarte pokrywa na nowo srebrem i złotem** po cenach możliwie nizkich. **TEOFIL PYCZ** 21 **4, Miodowa 4, w Warszawie.**

PRACOWNIA SUKIEN

i Okryć Damskich 55

Maryi Kowalkiewicz

wykonywam podług sezonowych żurnali, uczę kroju, cena nizka. **Nowolipie Nr. 5,** drugi dom od Przejazd, parter frontowy.

Na raty Duży Sklep Manufakturnych i Sukiennych towarów. Życzący na raty adres osobiście lub pocztą **Nalewki 36.**

12 **Ch. Kantorowicz.**

Dozwolone przez urząd lekarski na ogólnych zasadach handlu za Nr. 1496, jako środek nie zawierający szkodliwych domieszek.

PIEGI i PLAMY

usuwa

„DERMINA"

żądać w aptekach, składach aptecznych i perfumeryach. Główna sprzedarz w Warszawie w apt. **H. Huberta Plac Grzybowski 10**

Całe pudełko rb. 1 kop. 20, pół pud. kop. 60. 66

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko przy zakładzie froeblowskim ***Jadwigi Chrząszczewskiej***

w Warszawie, Nowy-Świat 21.

GAMASTON

Wiara ❃

Nadzieja ❃

Miłość ❃

Nowelle, z illustracyami

A. Kamieńskiego i S. Sawiczewskiego.

Rs. 1 kop. 50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Administracyi „Tygodnik Mód i Powieści"

WYŚMIENITE i udelikatniające

MYDŁO TATRZAŃSKIE

WYŁĄCZNA WŁASNOŚĆ

WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO

Z ZAPACHAMI

Fijołka, Konwalii, Buk. Tatra i Róży

Cena kawałka 15 k., najwyższy gatunek 25 k. i 45 k.

Dostać można we wszystkich ważniejszych perfumeryach.

32

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

Nauce i Rozrywce Młodzieży Poświęcone.

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.

Premium bezpłatne książka.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. **1**, rocznie rs. **4.** Na prowincyi kwartalnie rs. **1** k. **25**, rocznie rs. **5.**

Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.**

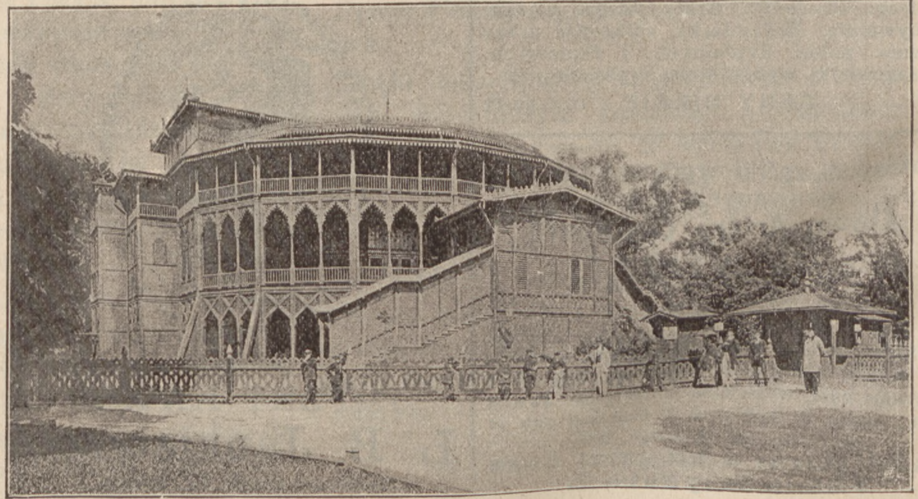
Warszawa, Chmielna 26.

Na żądanie wysyłają się numera okazowe.

Przewodnik Illustrowany

po WARSZAWIE,

67 rycin, wielki plan Warszawy, plany teatrów, cyrku etc.



Cena egzemplarza w oprawie **15** kop.

z przesyłką pocztową rekomendowaną 35 kop.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

ORAZ

w Administracyi „Tygodnika Mód i Powieści".

35 **KROAZY.** KROAZETKI, GROLINY i wszelkie dodatki do sukien. **TOWARY NORYMBERSKIE.** Przybory do gorsetów i Towary doborowe damskiej konfekcyi. Wybór wielki. Ceny najniższe. Poleca: **Antonina Plichta** ul. Ś-to Krzyska Nr 8.